

# Dzień z życia Iwanki Denisowiczówny

7 listopada 2019

Mieszkam w obszarze pracy przymusowej. Teren jest tak rozległy, że nikt nie fatygował się umieszczeniem napisu „praca czyni wolnym”. Nie ma tu drutów kolczastych, nie ma też baraków. Nikt nie chodzi do pracy pod strażą. Ludzie od świtu sami pędzą na łeb na szyję, byle punktualnie stawić się w wyznaczonym miejscu. Spóźnienia są karane. Pośpiech na drodze zarejestrowany przez kamerki, wprowadzie z opóźnieniem i nieuchronnie, jest też karany – mandatem. Uniknąć tych uszczupień nędznego wynagrodzenia można tylko kosztem snu. Dlatego pobudka o 5.45 w niedogrzanym z oszczędności pomieszczeniu jest rześkim początkiem dnia. Kawa, toaleta, wyjazd. Tylko niekiedy organizm jest w stanie przełknąć skromne śniadanie. Bułka, bawarka. Robienie kanapek jest bezsensowną stratą czasu, bo i tak nie będzie kiedy ich zjeść.

Przeprawiając się przez miasto w ogromnych korkach można dotrzeć na miejsce nieco przed czasem. Jak w porządnym obozie niewidzialna ręka koordynująca pracowników zamieściła na tablicy jeszcze chyba poprzedniego dnia szereg zaleceń o szkoleniach, zebraniach, spotkaniach z rodzicami na najbliższe dni. Oznacza to, że dzień pracy nie skończy się po przeprowadzeniu pięciu, sześciu godzin lekcyjnych, bo to co „zalecone” jest obowiązkowe. Skutków niezrozumienia, czy dosłowności doświadczyli nowicjusze próbujący tradycyjnie interpretować komunikaty koordynatorów i nadzorców, przypłacając absencję koniecznością realizacji szeregu biurokratycznych pilnych zadań, które nikomu nie były potrzebne, ale zabrały cenny czas na chwilę pozbierania myśli nad szczegółami koncepcji zajęć.

Mam zacząć „zerówkę”. Niemal pewne, że przyjdzie  $\frac{1}{4}$  widniejącej w planie gromadki. Instaluję się w fatalnie oświetlonej sali.

Akustyka wysokiego pomieszczenia i ogromnie natężony ruch uliczny mimo zamkniętego okna przesądzają o potrzebie zwiększonego wysiłku strun głosowych. Odpalam komputer tylko po to by uruchomić e-dziennik. Wprawdzie widać zamontowane na ławkach słuchawki, ale przy niefortunnych warunkach sali są zupełnie nieprzydatne. Poza tym już 30 lat temu minęła moda na uczenie się przez izolację w kabinach, ze słuchawkami. Ten pęd do techniki zmiotła kolejna moda na komunikację, która zamiast uczyć kultury porozumiewania się skończyła się nawykiem paplania słowotoku byle jak, byle szybko, byle głośno. Tak nastąpiło rozstanie się społeczeństwa z kulturą zasad i dobrych manier językowych. Zakiełkował analfabetyzm, bo w kąt odeszło pisanie. Dziś ma postać pełnoobjawowej epidemii, więc z niepokojem czekam na głośno rozgadanych i śmiejących się na korytarzu pierwszych uczniów.

Jest jeszcze rzutnik przeźroczy – dobre dla społeczeństwa obrazkowego i wykazania w szkolnej statystyce stopnia nasycenia nowoczesnymi technologiami. Jak ja tym gardzę. Dobremu belfrowi wystarczy klimat skupienia na ciekawej formie pracy dostosowanej do intelektu i aspiracji odbiorców. Zalogowanie się w systemie ukazuje jak bardzo nie mam nic do powiedzenia co i jak mogę zrobić. Maszyna nie ma danych o faktycznym poziomie zaawansowania i chłonności intelektualnej uczniów, ale decyduje o wszystkim. Przeglądam poszczególne etapy lekcji. Jak można było przypuszczać pozostawione rubryki na temat, sposób realizacji nie są dla nauczyciela do wpisania tego co po zdiagnozowaniu uzna, że należy robić. Nauczyciel ma gotowe szablony do kliknięcia. To wymusza i przyzwyczajają do rutynowości, wyłączenia myślenia, przyporządkowaniu siebie i gromadki podopiecznych do narzuconego schematu zainstalowanego w maszynie. Wszystko co stanowi zorganizowany proces dydaktyczny jest w maszynie rozpisane na najdrobniejsze wątki, które trzeba wypełnić klikając gotowe z sufitu wzięte treści. Próba niesubordynacji wyrzuca komunikat na czerwono, dalej nie przejdziemy. System kontrolowany jest formalnie przez czynniki zwierzchnie, uczniów i rodziców.

Jak przez mgłę przypominam sobie jakieś obrazy kinematograficzne ukazujące ludzi zdominowanych przez automaty. Bezduśnie jak Godzilla suną przed siebie siejąc strach i zniszczenie. Wyłączam potwora.

Usadowieni wyczekująco przede mną młodzi ludzie mają plecaki, picie, jedzenie i telefony na ławkach. Makijaż dziewcząt jest niesłychanie wyrazisty, z ostrą w kolorze szminką, sztucznymi rzęsami i grubą warstwą pudru, jak na casting. Młodzieńcy pracowicie wyrzeźbieni na siłowni chętnie demonstrują rozległe tatuaże wyeksponowane zdecydowanie za ciasnymi podkoszulkami. Nikt nie ma zeszytu ani książki. Są ciekawi i spokojni, więc mogę być pewna nawiązania kontaktu. Jest dobrze. Umawiamy się co do zasad. Porównuję to co w podręcznikach, komputerze, a co w rzeczywistości, to są dwie odległe galaktyki. Ten ugór trzeba zaorać i zasiać, a czasu niewiele.

Dla zachowania kontaktu z każdym chodzę, stoję. Ani na moment nie można usiąść, bo zacznie się zabawa telefonami, rozmowy towarzyskie, podziwianie najnowszej techniki manicure i spowolnienie tempa zajęć, albo ich fiasko.

Kolejne grupy liczniejsze i głośniejsze wymagają jeszcze większej dynamiki prowadzenia z umiejętnie dozowanym stopniem trudności. Odkrywam w klasie maturalnej osoby nietknięte wiedzą w najmniejszym stopniu. Próba włączenia choćby do przepisania prostych sformułowań z tablicy rodzi bunt, gburowate uwagi, że to ja nie rozumiem zasad szkoły, bo: „czy się chodzi, czy się leży, to matura się należy”. Tak, te słowa padają jak „O Boże”, albo „dzień dobry”. Jednym z przedmiotów współczesnej szkoły jest etyka. Czy ona do tego doprowadziła, czy elektroniczne terminatory.

Wszystkie przerwy wypełniają rozmowy wyjaśniające. Kiedy nadchodzi 14.00 jest czas szkolenia. Oczy pieką z niewyspania i zmęczenia. Nogi jak z waty. Zszarzałe twarze pozostałych uczestników silą się na sztuczne uśmiechy i uprzejmości, ale milcząca większość pewnie marzy by usiąść i napić się herbaty.

Półtorej godziny trwający instruktaż dotyczy kolejnego cudownego urządzenia, które jak nieprzydatny szpetny mebel oczaruje wizytatorów a i w oczach rodziców podniesie prestiż nowoczesności.

Przed nami tzw. spotkania z rodzicami, czyli wywiadówka. Ustawione kolejki rodziców będą dopytywać „Jak tam moja Gosia”, „Dlaczego mój Marcin tak słabo wypadł”. Odpowiedzi będą uspokajające, że pewnie miał gorszy dzień, ale jak się przyłoży, popracuje, to da radę i nie ma się o co martwić, bo to pomysłowy i przedsiębiorczy dzieciak, no może czasem za skromny. Rozejdziemy się około 20-ej. Od jutra będą trwać intensywne przygotowania do obchodów rocznicy 11 XI, bo powtarzane miliony razy słowo niepodległość każe ludziom wierzyć, że ona nastąpiła, tylko my nie umiemy jej świętować, a trzeba radośnie, z gromkim śpiewem wszystkich zwrotek hymnu.

Powrót do domu. Marzenie o prysznicu spełni się za chwilę. Będzie chłodny, bo zimą gaz jest jakiś uboższy, mniej kaloryczny, czajnik wody gotuje się dłużej, by rachunki opiewały na wyższą kwotę. Jeśli popracuję przez miesiąc zarobię na gaz, prąd, paliwo na odległe dojazdy. Reszta jest milczeniem. Przemęczenie fizyczne i nagromadzona suma absurdów skutkuje trudnościami z zaśnięciem. Wypalenie zawodowe wynika z fiaska racjonalnych zmian tego środowiska. W połączeniu z przypiętą łatką roszczeniowych obiboków gwarantuje ucieczkę z zawodu, w którym rozum ma spać. A od świtu od nowa kraina wolnorynkowa psia jegoż mać.

Autorstwo: Jola

Źródło: WolneMedia.net